Prosiłem, zostańmy, po co tam iść? Obejrzymy film, poleżymy. Ale chciała. Nalegała. Mówiła, że będzie fajnie, że się rozerwiemy trochę. Ubrała mnie w koszule, nalała drinka i chodź, no chodź. No i poszedłem.

Po schodach, w górę, na trzecie piętro. Uprzednio kilka dzielnic spacerkiem.

- Co chcesz zobaczyć siedząc w domu? – spytała.

- Ludzie tak nie mówią, to dialog w opowiadaniu – skwitowałem.

- Ale w opowiadaniach nie ma papierosów odpalanych od żaru, czyż nie?

- Gdzieś tam są.

Gdzieś tam pewnie są. Rzeczywiście, to ona paliła tym razem. W realnym świecie było odwrotnie. A od żaru odpalany, bo ani ja, ani ona nie wzięliśmy ognia, więc spytaliśmy o niego pana z papierosem, a on wystawił nam końcówkę swojego i powiedział: *odspawajcie sobie.*

Przedstawiła mnie swoim znajomym. *To ten ze Śląska, tak?* Kiwałem głową w górę i w dół, czułem się jednocześnie dumny i zawstydzony, jakbym wrócił nachlany z Barburki, a żona spytała: *kaj mosz gelt?*

To ten nowy, tak? I to *tak* na końcu. Pretensjonalne, jakby oczekiwały, że przyjdę upierdolony węglem od stóp po uszy. *Tak* wyrażające zawód, bo przecież tyle o mnie słyszały, i nagle widzą. *Tak,* jeszcze jedno, rzucone po prostu, jak frisbee. Stanąłem przy barku i nalałem sobie wódki. Podszedł solenizant, najpierw spojrzał mi głęboko w oczy, po czym uścisnął dłoń.

- Tyle nas łączy – zaczął.

- Rzeczywiście, Warszawa i Śląsk, jesteśmy tacy sami.

- O, ironista nam się trafił – mruknął cały czas dzierżąc uścisk. – Maja, to ten ze Śląska? – krzyknął gdzieś w stronę kuchni.

Maja wychyliła głowę zza ściany, pokiwała nią w górę i w dół i zniknęła. Trzymając mnie jak w obślizgłych mackach zaproponował, żebym napił się po ichniejszemu. W tym momencie było już bez znaczenia w jaki sposób pozbędę się tego świata. Pewne było to, że musiało jebnąć, gdziekolwiek, byleby jebło w coś, co sprawi, że upiór puści moją łapę. I piłem oplatany ramionami, tyłem do stołu, zagryzając limonką i pieprzem, szczęśliwy, że już nie trzyma mnie jak w klatce. Cieszmy się z małych rzeczy – pomyślałem i od razu wpadłem na to, że powiem o tym Mai, a ta uraczona tym zdaniem, rzuci mi się na szyję w podzięce za to, że znalazłem receptę na wspólną przyszłość.

Szedłem do kuchni by powiedzieć jej o tych rzeczach, o mikroskopijnym szczęściu, które rozsypane, i że wcale zbierać nie musimy od razu, gdy za rękaw złapała mnie jakaś blondynka.

- To ty jesteś Jakub? – spytała.

- Tak, to ja.

- Jakub od Mai, tak?

- Tak.

- W takim razie umiesz mówić po Śląsku, tak?

- Potrafię, ale na co dzień mówię normalnie, jak słyszysz.

- Powiesz nam coś, tak?

- Ale co?

- Obojętnie – machnęła ręką i zwróciła się do reszty osób siedzących przy stole. – Ej, cicho, Kuba powie coś po Śląsku.

Stałem jak wryty, jak na tej auli w gimnazjum, gdy po raz pierwszy spłonąłem ze wstydu, jak wtedy, gdy dyrektor kazał wyjść na sam środek sali gimnastycznej i palcem wskazał *tego*, który pali papierosy w damskiej łazience, jak wtedy, gdy po raz pierwszy na szkoleniu trzeba było powiedzieć kilka zdań o sobie.

- *Wy głupie ciule, dejcie mi spokój, i zajmijcie się waszom gorolską gadką!* – krzyknąłem teatralnie i poszedłem do kuchni.

Za sobą nie usłyszałem śmiechu; był to rechot, rżenie nie wynikające ze zrozumienia, a z samego faktu usłyszenia *czegoś po Śląsku.*

Znalazłem Maję w kuchni.

- Ty, oni są jacyś pojebani, chodźmy stąd, czuję się jak cyrkowiec.

- Przesadzasz, a ty jakbyś się zachował, gdyby do ciebie przyjechał… nie wiem, koczownik z Nikaragui?

- Czy ja wyglądam jak koczownik? Czy ja w ogóle wyglądam jak Ślązak? Ale nieważne, słuchaj! Chodzi o to, żeby z tych małych rzeczy, wiesz, żeby z nich cieszyć się, i wtedy te większe jakoś same się pozbierają.

Nic, dalej grzebie w sałatkach, jakbym nic nie powiedział.

- Wiesz o co mi chodzi? – pytam.

- No co znowu?

- To co przed chwilą powiedziałem! – Że my, małe kawałki to my, a szczęście w nich, powoli zbierać musimy, to metafora, kurwa Maja, słuchaj!

- No, już, już, mów.

- Drobne rzeczy są ważne.

- W sensie, monety?

- W sensie, że wskakujesz mi na plecy na basenie, a ja z tobą do wody.

- Naleciało mi wtedy wody do nosa, nie podobało mi się.

- Nie chodzi o wodę! O te momenty, że trzeba je oskubać z chujni jak ziemniaka, i jeść miąższ, kurwa, no że wiesz… nie kłóćmy się tyle.

- Przecież nie kłócimy się.

- Ale w domu, nie teraz, jak byliśmy w domu.

- Dobra, chodź do pokoju.

Wzięła sałatkę ze stołu i zaczęła śpiewać *sto lat,* jakby tort niosła. Myślałem na początku, że coś jej się pojebało, ale reszta wstała i też zaczęła śpiewać. Bez tortu?

Po *sto lat* było zdrowie solenizanta, uściski – przed którymi zdążyłem uciec na papierosa.

Powietrze było różne, raz wdech był lepszy, raz gorszy. Znowu byłem w miejscu, w którym się znalazłem; całe życie jestem w miejscach, w które trafiam. Nie, żebym jechał do nich taksówką, czy szedł, nigdy, po prostu rozpędzony moment – a ja w nim, w samym środku. Trwanie, bez początku, samo jebaniutkie centrum. Jak ludek z plasteliny przesuwany z miejsca w miejsce. Przeszło mi przez myśl, że to nie rzeczywistość ma skazy, tylko ja. A co jeśli tak właśnie jest? Jeśli ten papieros to tylko papieros, a jak wrócę do mieszkania Maja będzie o parę lat starsza, i nic to nie zmieni? Co jeśli jej twarz wzbogaci się o te kilka zmarszczek tylko dlatego, żeby uświadomić mi błahość przemijania? Co jeśli nasze kłótnie to jedynie prolog bliźniaczej starości?

Wszystko to bez znaczenia. Tak, było mi już obojętne czy zginiemy my, czy nasze fantazje; coś jakbym widział swoje stopy na parapecie, a po chwili ciało w locie, którego świst wraz z deszczem tnie powietrze na warstwy.

Wyobraziłem sobie swoją twarz rozmemłaną w czyimś ogródku. Śmierć wyglądała na piękną, pomyślałem o niej jak o kobiecie, a zamiast zawstydzenia czułem wrzenie na dnie żołądka i chęć rozwikłania tajemnic, które w sobie kryje. A może śmierć od zawsze była kobietą? Albo to kobieta od zawsze była śmiercią?

- Tu jesteś.

Pokazałem papierosa w ręce.

- No właśnie, trzeba się czasem odciąć.

- Albo zapalić – mruknąłem.

Pstryknąłem papierosem gdzieś w świat i chciałem wrócić do mieszkania, gdy blondynka złapała

mnie za ramię.

- Zostań, poczekaj aż dopalę.

Rzuciłem okiem przez szybę do środka. Maja siedziała na dużym, barowym krześle i energicznie gestykulowała. Jeśli snuła jakąś opowieść, robiła to właśnie w taki sposób, jakby nic innego w tej chwili nie miało znaczenia.

Obróciłem się i oparłem łokciami o parapet.

- Ten w długich włosach to mój facet.

Zajrzałem ponownie do mieszkania i pokiwałem głową w górę i w dół. Rzeczywistość zlała mi się w wiecznie trwającą sekundę, przez moment nie wiedziałem, czy jej facet to ten w środku, czy jednak ja. Co jeśli mówiła o mnie? Co jeśli ten w środku to ja, a ten na zewnątrz jest jedynie projekcją blondyny? Co jeśli *ja* to jej myśli? No i kim jest Maja, jeśli to wszystko prawda?

Papieros odfrunął, a my powoli wtoczyliśmy się do mieszkania. Maja zauważyła, że wracamy razem, ale nie przeszkodziło jej to w opowieści, dalej machała rękami i snuła wyraz za wyrazem.

Na dole ubikacja była zajęta, chwilę jeszcze czekałem aż się zwolni, ale dotarło do mnie, że po wyjściu tego kogoś może być niezręcznie. Poszedłem więc na górę po masywnych, drewnianych schodach. Zatrzymałem się na półpiętrze skąd bardzo dobrze było widać całe zgromadzenie przy stole.

Warszawa, Wrocław, Kraków, Gdańsk, nie ważne, wszędzie domówki są takie same. Goście są tacy sami, i ja, przypadkowo, jak na szynach kolejowych – dostarczony w miejsce docelowe, również taki sam. Mówią o obrazach, które właśnie malują, o studiach, koniecznie na Akademii Sztuk Pięknych. Drzeworyt, malarstwo, grafika. Cały czas mówią. Sztuka, dla nich sztuka jest ważna. *Jakub, czytaliśmy twoją książkę, Maja nam pokazała.* Biorą mnie za siebie, jestem jednym z nich. Później mówią o muzyce, o zespołach, konieczne takich, których nikt nie zna. *Jakub, słyszałeś …… ?* Nie – odpowiadam. *To czego obecnie słuchasz?*

Jak w pętli; Gdańsk, Kraków, Wrocław, Warszawa. *Chodźmy na Powiśle, dzisiaj gra Tako.* Kto? – pytam Mai. *Przed koncertem jest spotkanie z Twardochem na Akademii. Jutro rano wystawa w galerii, też pójdziemy. No i jazz w Piec Arcie, gra jakiś band z Finlandii.*

Myślę o Henrym Millerze, jak mu się udało pokochać tę alternatywę w Paryżu. Co takiego jest w bohemie? No i o sobie też myślę, jak mogę pisać o ludziach, i ich problemach, przebywając z ludźmi, którzy nie mają problemów?

*

Wracam do siebie na osiedle, na Śląsk.

Kolega podaje mi flaszkę i mówi, że musiał wrócić do swoich dzieci, bo jego była żona nie ma jak opłacić czynszu. Biorę łyka i podaję dalej. *A ty, gdzie żeś był jak cię nie było?* A, ta moja mnie wzięła gdzieś do znajomych – odpowiadam. *Słyszałeś, że Mintaj wyskoczył?* I idzie, przed nami, jakby usłyszał.

Podbiegam do niego, zbijamy grabę i miśka, ale nie bardzo, jest już po drugiej stronie, tej, po której się jest, gdy przesiedzi się pięć lat w więzieniu – najpierw w Areszt Śledczy Mysłowice, później w Zabrzu, a końcówka w Wojkowicach. Daję nam kartkę do ręki. Co to? Czytam na głos, i nie wierzę. Wracam do początku i czytam po cichu. Nie wierzę. Jeden z naszych strzelił z ucha na policji, nie wziął na siebie, tak jak miał, tylko sprzedał naszego najlepszego kumpla za towar, który od niego wziął. Patrzymy po sobie. Nikt nie jest zły. Jesteśmy rozczarowani, i zrezygnowani. Teraz będziemy musieli spuścić wpierdol najlepszemu kumplowi, za to, że okazał się nienajlepszym kumplem.

Chwilę później sms od Mai:

Jestem już domku. Za tydzień koncert w KRK!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stawitzky, dodano 17.10.2017 13:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.